

ZIEMIAŃSKIE BIOGRAFIE

Teresa z Fudakowskich Rostworowska

MOJE DZIECIŃSTWO

Ojcem mým był Kazimierz Florian Fudakowski, matką Ludwika Anastazja z Saryusz-Bielskich. Ojciec był synem Ignacego Fudakowskiego i Julii ze Zbyszewskich. Miał liczne rodzeństwo, które wymieniam według kolejności wieku: Zygmunt ożeniony z Kazimierą Łempicką, Herman ożeniony z Marią Biernawską – był profesorem medycyny w Szkole Głównej w Warszawie, Helena, która wyszła za Morgulca, z zawodu prawnika, Felicja zamężna za Kraczkiewiczem, Bronisław ożeniony z Anną Saryusz-Bielską.

Ojciec mój, po ukończeniu gimnazjum polskiego w Odessie, studiował rolnictwo w Wyższej Szkole Rolniczej w Marymoncie pod Warszawą. Gdy ukończył studia, objął majątek swego ojca – Klesztów w pow. chełmskim w woj. lubelskim Klesztów znajdował się w pobliżu Uhra, rodzinnego majątku Wincentego Saryusz-Bielskiego. W 1863 r. wybuchło powstanie. Mój dziadek Ignacy, gospodarujący na Ukrainie w Skomorzokach, pow. berdyczowski, w majątku posażnym żony, oraz w Hubinie, brał udział w powsta-

niu – nie z bronią w ręku, lecz jako skarbnik powstańczy z wyboru współobywateli. Z tego powodu został pozbawiony majątku Klesztów, leżącego w byłej Kongresówce, gdyż w pierwszej kolejności ulegały konfiskacie majątności znajdujące się w Królestwie. Dziad zaś Ignacy został w 1864 r. aresztowany, a jego majątki posażne po Zbyszewskich – Skomorozki i Hubin wraz z cukrownią skonfiskowano. On sam był więziony w twierdzy na Peczersku w Kijowie, gdzie przebywał dwa lata. Potem wywieziono go do Tobolska na Syberii, gdzie pozostawał przez 12 lat. Został zwolniony, ale wolno mu było mieszkać tylko w Kongresówce. Po paru latach ten zakaz cofnięto, gdyż dziadunio stracił wzrok i jako niewidomy mieszkał kolejno u synów lub córek. Umarł u syna Kazimierza w Turbowie w 1890 r. i pochowany był w Niemirowie koło swej żony Julii, która zmarła podczas jego wygnania.

Zatem mój ojciec musiał Klesztów nagle opuścić. Zdołał jedynie część żywego inwentarza przepędzić do Uhra, do swego sąsiada Saryusz-Bielskiego. Pozostał bez warsztatu pracy. Pojechał na Ukrainę i tam podjął się administracji cukrowni w Dziadowszczyźnie, należącej do braci Chojeckich ze znanej i poważanej rodziny ziemiańskiej. Po upływie roku wziął w dzierżawę sąsiedni majątek, należący do Wincentego Chojeckiego. Były to Holaki. Zachował zarazem administrację cukrowni. Mając już podstawy materialne do życia, pomyślał o ożenku.

Przed konfiskatą Klesztowa rozglądał się już za towarzyszką życia i, przebywając za granicą, poznawał rozmaite osoby wśród licznej emigracji popowstaniowej. Bawił wtedy kilka miesięcy w Rzymie, gdzie ciceronem jego był znany ks. Kalinka ze Zgromadzenia Zmartwychwstańców, założonego przez ks. Semenkę. Ten pobyt w Wiecznym Mieście pozostawił mu głębokie wrażenia, często potem opowiadał nam, dorastającym dzieciom, o Rzymie i jego zabytkach, a mej siostrze i mnie mówił, że chciałby jeszcze kiedyś te wspaniałości nam pokazać.

W drodze powrotnej zjechał do Drezna, gdzie liczna była polska kolonia i dużo wtedy osób odwiedzał. Później poznałam, jako dorosła już panna, parę starszych pań, które z łezką w oku wspominały *le beau Casimir*. Wracając odwiedził

państwa Saryusz-Bielskich w Uhrze, gdyż tam w tym czasie odbywał się właśnie ślub młodszego jego brata Bronisława z panną Anną Saryusz-Bielską. Wtedy to zwrócił uwagę na dziewiętnastoletnią siostrę panny młodej, Ludwikę, która ujęła go swym wdziękiem, dystynkcją i umysłem. Zareczył się z nią. Różnica wieku była duża, gdyż mój ojciec miał już 39 lat. Ślub odbył się w rok później i państwo młodzi wyjechali na Ukrainę do Dziadowszczyzny, gub. kijowska. Tam po roku urodził się syn Bronisław i wtedy rodzice moi przenieśli się do sąsiedniego majątku Holaki. Majątek ten nadal był przez ojca tylko dzierżawiony, a jednocześnie ojciec administrował cukrownią odległą o 5 wiorst, do której co dzień dojeżdżał.

Holaki po ukraińsku oznaczają gałęzie albo małe laski. Była to duża wieś ukraińska o 18 wiorst od kolei. Stał tam na wzniesieniu duży murowany dom na wysokich suterdach, z klasycznym, półokrągłym gankiem o sześciu jońskich kolumnach. Wewnątrz duże, wysokie pokoje, o bardzo niewygodnym rozkładzie. Jadalny pokój o 5-metrowych wysokich oknach, salon duży (we wspomnieniu ogromny) i inne pokoje bez systemu korytarzowego. (...) W ładnie zarysowanej oficynie murowanej mieściła się duża kuchnia, pokój kucharza i, z osobnym wejściem, mieszkanie dwupokojowe dla pani gospodyni z mężem. Ponieważ wzgórze z dość ostrym skłonem schodziło do stawu, pod tym mieszkaniem mieściła się izba czeladna, po miejscowemu piekarnia, bo w niej się chleb piekło, a czeladź miała ustawiony duży stół na posiłki. Dalej pralnia, izba dla dziewcząt: praczka, baba, kucharka, jedna czy dwie dziewczki do dojenia, robienia masła i innych czynności wymaganych przez panią gospodynię, po miejscowemu zwaną klucznica. Przed dworem duży dziedziniec z okrągłym trawnikiem, a po bokach ładnie rozplanowane grupy świerków, w mojej pamięci dużych i rozłożystych, i innych drzew i krzewów; zaś z drugiej strony domu ciągnął się ogród bardzo ładnie zarysowany (...) Wzdłuż parkowej części ogrodu rozciągał się duży sad. (...) Był dla nas miejscem rozkoszy, typowo rozplanowany i przecięty regularnie uliczkami na kwatery (...). Na jednym skrzyżowaniu uliczek rosła rozłożysta grusza, pod nią ławka i tu był nam wyznaczony kawałek

dobrze skopanej ziemi. Ogrodnik podzielił ją na grządki dla nas, starszych, i z zapalem sialiśmy, sadzili, pełli i podlewali, dochodząc do dobrych rezultatów (...).

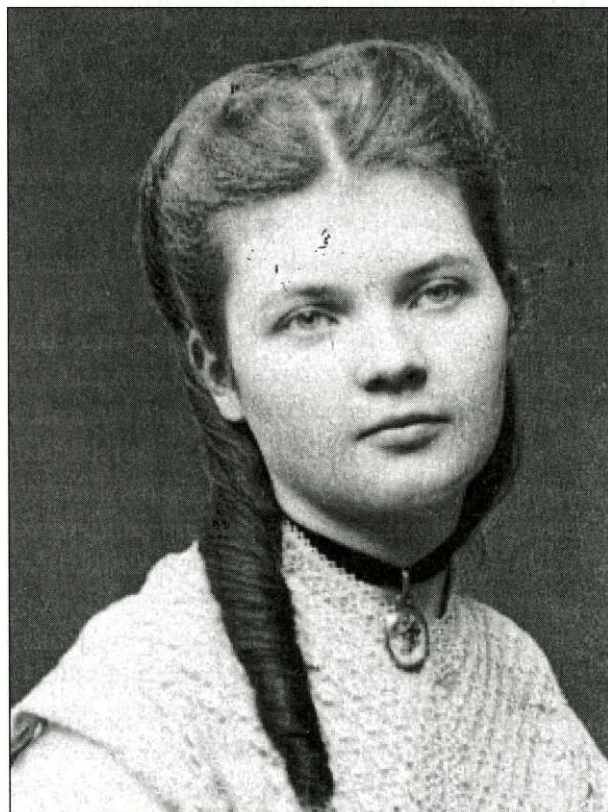
Wprost domu znajdowała się brama wjazdowa, pomalowana na biało, od niej aleja starych topól; była ona początkiem drogi prowadzącej na groblę położoną w poprzek stawu. Tu stała gorzelnia i młyn, dalej szła wśród pól i prowadziła do miasteczka Fałtów, do stacji kolejowej odległej o 18 wiorst. Dwa duże stawy oddzielały całe obejście, do którego dodać należy stajnię cugową i wozownię dworską – od wsi, a grobla między nimi prowadziła do wsi. To był widok z okien jadalnych i z zaciekawieniem śledziliśmy nieraz ruch furmanek i pieszych. Stawy te zamarzały głęboko, bo na Ukrainie zimy są ostre i śnieżne, a lód krajany piłą na duże bryły zwożony był do dworskiej lodowni i do gorzelnii.

Domownikami naszymi byli: dziadunio – ojciec ojca – niewidomy po powrocie z wygnania, który kolejno bawił po parę miesięcy u synów lub córek, jego lektorka, stara panna Kamilla Siemiątkowska, pochodząca gdzieś ze Wschod-

niej Małopolski, która była dość przykrego charakteru dla otoczenia, ale dziaduniowi dogadzała dobrym polskim czytaniem gazet i powieści, bo francuskie czytanie było udziałem naszej mamy, a „Revue des deux mondes” bardzo cenionym miesięcznikiem. Następnie osobisty lokaj dziadunia, który jak sięgnę pamięcią nazywał się Kal. Potem kolejno cały szereg nianieek, bon, nauczycielek, bo liczba dzieci z czasem doszła do siedmioroga (...). Kolejno na świat przychodzili: Bronisław (Bronio), Julia, Teresa, Leon (Lolo), Kazimierz (Ziunio), Helena (Lutka) i Jadwiga (Winia). Z tego czasu pamiętam jakto Mamusia pojechała ze mną do Warszawy i zaprowadziła do jakiegoś doktora, który mnie na stole zupełnie rozebraną postawił i obstukiwał, szczególnie plecy. Nic nie rozumiałam z całej rozmowy mamy z doktorem, ale obilo mi się o uszy słowo „garb”. Wróciwszy do Holek chwaliłam się przed Broniem i Julą: „Aha, a mnie garb rośnie, a wam nie”. Również chyba wtedy, gdyż pamiętam, że miałam najwyżej 3 lata – nasza mamusia wybrała się na imieniny wuja Rakowskiego, który był wówczas plenipotentem Haliny Bra-



Kazimierz Florian Fudakowski (1831-1901) - b. właściciel Klesztowa pow. chełmski, administrator cukrowni w Dziadowszczyźnie i dzierżawca maj. Holaki w Kijowskiem, ojciec Teresy.



Ludwina z Saryusz-Bielskich Kazimierzowa Fudakowska (1850-1889) – pochodziła z Uhra pow. chełmski, matka Teresy.

nickiej i mieszkał z rodziną w Stawiszczach koło Białej Cerkwi. W zwyczaju wtedy było wozić się z dziećmi, więc mamusia zabrała moją siostrę i mnie, i panią Idę. Droga daleka, że 100 wiorst, i to była dla nas męka, bo zapach obicia i skóry przyprawiał nas o mdłości, tak że moja siostra wyprowadziła się na kozioł obok furmana. Tak jechaliśmy co najmniej 8 godzin. Po przyjeździe do Stawiszcz przed wieczorem, ciocia umieściła nas w dwóch dużych pokojach na piętrze i kazała zaraz przynieść kolację, byśmy prędko poszły do łóżek. Mamusia zaś zaczęła się ubierać, bo wieczorem była kolacja, dużo osób zaproszonych i tańce. Doskonale pamiętam suknię mamusi, była z czarnej koronki, z trenem, a zachwyty we mnie wzbudziły śliczne, aksamitne tulipany, przypięte przy dekolcie. Nazajutrz widzę jeszcze słoneczny dzień, *mademoiselle* ubrała nas w białe, pikowe sukienki w kwadrat wydekoltowane i po zjedzeniu na górze śniadanie, odprowadziła nas na dół do salonu. Widzę jeszcze młode towarzystwo otaczające nasze już dorosłe kuzynki, piękne panny Rakowskie. Trochę oszołomiona, to zapamiętałam, że jakieś ręce mnie porwały i postawiły na stole i jacyś młodzi panowie wpiнали róże za dekolcik. Po obiedzie, który zjadliśmy na górze, zawołano nas na spacer. I znów widzę barwny obraz: na dziedzińcu konie, na nich panie w amazonkach, a panowie w czerwonych frakach i białych spodniach. Nas umieszczono w landzie, gdzie już siedziała mamusia i ciocia. Cała ta kawalkada ruszyła w stronę lasu, przez bezkresne, ukraińskie łąny.

Tyle wrażeń zatarło w pamięci, choćby szczegóły naszego powrotu do cichego życia w Holakach. Życie tu było pracowite, może dla starszych monotonne, ale dla naszej starszej trójki pełne wrażeń związanych z przebywaniem na wsi, bez żadnego luksusu i wystawności, ale w atmosferze tworzonej przez bardzo kochających się rodziców. Oni wspólnie naradzali się nad naszym wychowaniem, a nadawali swoim taktem ton życia związanego z tradycją i kulturą. Nasz ojciec co dzień jeździł do cukrowni i wracał na obiad, popołudnie poświęcał gospodarstwu, jeździł konno lub malusieńkim powozikiem, gdy naszą mamusię zabierał. Wtedy dwoje dzieci mogło dosiąść się, opierając nogi o stopnie dorożki. Cóż to była za radość, gdy tatuś kazał

stawać, by z bliska obejrzyć kiełkujące buraki lub stwierdzić czy kłosa żyta są dobrze ziarnem obsadzone, wtedy pędziliśmy do zboża, by narwać jak najwięcej bławatków.

Majątek Holaki leżał w dość odosobnionej okolicy, więc sąsiadów nie było. Wśród urzędników cukrowni była bardzo miła rodzina Szymanowskich. Byli to stryjowie znanego muzyka i kompozytora Karola Szymanowskiego. Pan Józef i jego brat Jan byli bardzo muzykalni, w swym domu na dwa fortepiany dawali prawdziwe koncerty. My oczywiście jako dzieci nie braliśmy w tym udziału, ale pan Jan Szymanowski dojeżdżał do Holak i dawał mojej siostrze Juli i mnie lekcje fortepianu, a ich rezultatem było muzykowanie wspólne z moją mamą, która bardzo mile grała, na cztery ręce *Le reveil du lion* i nawet na sześć rąk jakąś partię z Hugonotów. (...)

Nie było łąk należących do folwarków, więc zapuszczano wysoką trawę w całym ogrodzie i jak była na zakwitnięciu koszono ją, by dostarczyć zimowej paszy dla krów dworskich. Tych parę dni kośby było przez nas wyczekiwane, bo były źródłem rozmaitych zabaw. Jakaż to była radość, jak pewnego dnia budziliśmy się, słysząc charakterystyczny dźwięk ostrzonych kos! Śniadanie szybko zjedzone, pędziliśmy do ogrodu, by się przypatrywać jak sprawnie dziesięciu kosiarzy jednym, rytmicznym ruchem kładło pasma podciętej trawy. Niezapomniany zapach tych wędnących ziół i liści! (...) Innym razem mama kazała zaprzęgać do wozu drabiniastego, dobrze wymoszczonego i z podwieczorkiem jechaliśmy do lasu przy Wólce Holakowskiej, gdzie był basztan. Basztan był to kawałek pola lub polana, która była przeznaczona na zalesienie. Otóż wobec zwykle upalnych miesięcy letnich trzeba było te sadzonki chronić od wysuszenia. Podlewanie nie było możliwe na paromorgowej przestrzeni, więc siano między rzędami sadzonek ogórki, kawony, melony, słoneczniki, które rosnać zacięniały sadzonki. Taki basztan był wydzierżawiony basztanikowi i bywał celem spaceru wozem. Wtedy wolno nam było zbierać owoce, a zwykle obok zachód słońca i na pół zasnani zajeżdżaliśmy pod ganek (...). Rosnący las czerwienił się od poziomek. Spacer przeciągał się poza

Czasem było parę urozmaiceń w powszednim życiu holakowskim. Parę razy do roku zjawiała

się wędrowną orkiestra, nieraz z 10 ludzi złożona. Wtedy wszyscy z przyjemnością słuchali, służba nieraz z za węgła domu, by nie przerywać swojej roboty. Znow innym razem przyjeżdżał kuglarz. Wtedy w ogromnym jadalnym pokoju zestawiało się krzesła rzędem. W pierwszym rzędzie mamusia ze starszymi dziećmi, z tyłu młodsze z niańkami, dalej cała służba, a przed nami pan z za stolika dziwy pokazywał.

Plagą byli Cyganie, którzy bandą przychodzili, mężczyźni krążyli koło stajen jako zawodowi koniokradzi, Cyganki wchodziły jak szarańcza i wejściami, szukając, co by ściągnąć, a inne w dużym kredensie wróżyły, by odwrócić uwagę. Mnie strach ogarniał, bo służba mówiła, że one dzieci kradną. To uczucie lęku pozostało mi na całe życie.

Odkąd pamiętam, tj. chyba jak miałam 6 lat, w zimowe wieczory przed kolacją było głośne czytanie mamusi w saloniku. Mamusia nam czytała *Robinsona Crusoe* lub indiańskie przygody, a myśmy robiły jakieś robótki. Pędziłyśmy na to czytanie jako na jedną z najmilszych chwil. Latym zaś, po kolacji, po zachodzie słońca, w ciepłe letnie wieczory zasiadaliśmy na schodach wysokiego, frontowego ganku i śpiewaliśmy chórem rozmaite, polskie i ukraińskie piosenki. Mamusia ogromnie to lubiła i bardzo nas do tego zachęcała. A jak się kolejno gwiazdy pokazywały, to pouczała nas, jak się nazywają. Ten nastrój letniego wieczoru z zapachem kwiatów połączony pozostał mi w najmilszej pamięci. (...)

Zwykle na lato przyjeżdżała rodzina stryja Zygmunta. Stryjenka była Łempicka z domu, dzieci nazywały się: Zosia, Izio, Julcia, dla odróżnienia z moją siostrą, która była brunetką, nazywałyśmy je Julia czarna i Julia biała, bo była jasną blondynką. Stryjenka była typem kobiety z połowy XIX wieku. Zawsze cierpiała na migreny, mało jadła, by mieć wygląd eteryczny, mówiła tylko po francusku, *car le polonais est une langue des cuisinieres*. Dziećmi się zupełnie nie zajmowała, przeważnie leżała w szezlongu z zapuszczonymi firankami, w półcieniu, lecz wieczorem lubiła się przebierać. Więc na przykład obstałowała sobie na wsi cały typowy ubiór ukraiński, bardzo barwny i ręcznie wyszywany. Pamiętam, jak pewnego wieczoru zjawiła się na kolacji jako

Ondyna: więc w białej, powłóczystej szacie, zaś z ramion spływały wodorosty i wodne białe lilie. Nas to bawiło, a nasza kochana mamusia o złotym sercu, mawiała „Biedna Kazia, to ją bawi” – sama wpinała sobie kwiaty we włosy, żeby Kazi zrobić przyjemność.

Niezapomniane mi są majowe nabożeństwa, odprawiane w domu w ciągu całego miesiąca maja. W pokoju sypialnym ustawiano obraz – dużą fotografię Matki Boskiej Sykstyńskiej, którą kobieca służba pod dyrekcją panny służącej otaczała białym tiulem, na którym przyklepione były złote gwiazdki, naokoło ustawione były zielone rośliny w doniczkach, a na stole biało nakrytym stały ogromne bukiety bzu, narcyzów i pęków czeremchy. Te zapachy wiosennych kwiatów całe życie wznawiały mi w pamięci te majowe nabożeństwa. Mamusia odmawiała litanie i modlitwy, a zawsze zakończone one były śpiewaniem jakiejś maryjnej pieśni. Cała służba przychodziła na odgłos dzwonka.

Inne wrażenie, które mi się głęboko wryło w pamięć, było związane z burzą. Tam, na Ukrainie gorące i suche lato wywoływało gwałtowne burze. Pamiętam raz jak z zachodu pędził huragan, niosąc wysoko chmury piasku, jak się potem okazało, z odległej o kilka wiorst małej wydmy. Potem czarna chmura, błyskawice i grzmoty, a siła wiatru zwaliła ogromną topolę, rosnącą na rogu domu. Ja zaczęłam głośno płakać tuląc się z rodzeństwem do mamusi, ona zaś widząc to dziecięce przerażenie, ścisnęła mi mocno ręce w swoich dłoniach i bardzo głośno zaczęła odmawiać „Kto się w opiekę odda Panu swemu”. Od razu się uspokoiłszy, czując wychodzącą przez usta mamusi tę jej silną ufność w opiekę Bożą.

Bardzo niemiły i dziki zwyczaj był rozpowszechniony wśród tamtejszej ludności, dość mściwej. Mianowicie o byle spór podpalali się wzajemnie i to najczęściej nocą. Ileż to razy budził nas w nocy odgłos dzwonów cerkiewnych, w które pop miejscowy w specjalny sposób kazał uderzać na znak, że się pali. Jednej nocy podpalono ogromną wołownię należącą do folwarku, a położoną za ogrodem, wprost dziecinnego pokoju. Mamusia zebrała nas w swoim pokoju i przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej odmawiała modlitwy, prosząc o opiekę. (...)

Jako *regime* jedzeniowy było: na śniadanie dla dzieci kawa zbożowa, chleb żytni pytlowy i razowy z masłem solonym. Obiad o drugiej razem ze starszymi, tylko najmłodsze dziecko, nieumiejące jeść same, miało swoje nakrycie na bocznym stoliku i niania karmiła je w zupełnej ciszy. W ogóle nursery nie było, ale przy stole dzieciom nie wolno było się odzywać inaczej jak szeptem. Podwieczorek typowo wiejski, bo kwaśne mleko, dużo sałaty i najrozmaitsze owoce. Kolacja o ósmej. Czasem na śniadanie dostawaliśmy barszcz z kuchni czeladnej, prawdziwy ukraiński, biały albo czerwony. W nim buraki drobno krajane, kapusta, kartofle, drobna fasolka, to wszystko na mięsie. Każde z nas miało swoją drewnianą łyżkę, jak na Ukrainie bywało u chłopów, bardzo ozdobną, często okrągłego kształtu, malowaną w charakterystyczne wzory czerwono-czarne i lakierowaną.

Kąpiel w domu była problemem wobec braku wodociągów i kanalizacji. Raz na tydzień grzało się kocioł wody w czeladnej i 2 dziewczki przynosiły ten kocioł na drągu przeciągniętym przez ucha kotła. Zimna woda stała zawsze przed bocznym wejściem domu w beczce na kołach, a po kąpieli kolację dostawaliśmy w łóżku. Późną wiosną lub latem w słoneczne dni dzieci brały kąpiele w wodzie z solą ciechocińską, w specjalnie w tym celu zrobionej wannie drewnianej, ustawionej na dworze w słońcu.

Dla Bronia był nauczyciel Niemiec Meier, gdyż Bronio miał się uczyć w niemieckich szkołach. Powodem tej decyzji naszego ojca było zniechęcenie do rosyjskich wpływów i systemów, jako skutku represji popowstaniowych, a decyzję tę mógł podjąć, gdyż według prawa rosyjskiego, gdy syn w wieku wojskowości miał ojca w wieku ponad 60 lat, co w tym wypadku miało miejsce, był wolny od służby wojskowej. Bronio więc miał swojego Meiera o ile pamiętam przez dwa lata, a jednocześnie Meier dawał mnie i mojej siostrze lekcje niemieckiego.

Było w zwyczaju wobec odległości od miasta, że dla szycia liberii dla męskiej służby (była popielata ciemno, z granatowym kołnierzem i wypustkami u spodni i srebrne guziki ze szlachecką koroną) i naszych paltocików sprowadzano z miasteczka krawca. Był to oczywiście Żyd, przywoził ze sobą dwóch pomocników i maszy-

nę. Instalowano ich w hollu na piętrze i szyli od rana do wieczora. Jedzenie mieli swoje, bo bardzo pilnowali swoich żydowskich przepisów, więc rozchodził się zapach śledzia i cebuli. Wszyscy oddychali, jak się to kończyło.

W międzyczasie urodziła się córeczka, szóste dziecko i mamusia ciężko przechorowała ten poród ze skrzepami w obu nogach. W tym czasie bawiła u nas, zresztą jak co roku na wiosnę, zakonnica ze Zgromadzenia Sióstr Felicjanek i ona dotrzymywała towarzystwa chorej, a mnie uczyła czytać, pisać i szyć. (...)

Po wyzdrowieniu naszej mamusi lekarz zalecił kąpiele błotne na limanie, a ponieważ i nam dzieciom zalecił słone kąpiele, rodzice postanowili urządzić całą wyprawę.

Co to był liman? Koło Odessy znajdowały się solone jeziora, które kiedyś były zatoką Morza Czarnego, a z czasem zostały od morza odcięte łąkami piasku, naniesionego wiatrami od strony lądu, nie porośnięty lasem, suche w upalne miesiące letnie. Było kilka takich limanów. Ten, do którego mieliśmy jechać, nazywał się Kujalinek, a na jego brzegu stał budynek parterowy o kilku pokojach. To był zakład kąpielowy doktora Jachimowicza. O kanalizacji mowy nie było, a co dopiero o elektryczności. Ta wtedy dopiero była na zachodzie Europy nowością. Umeblowanie składało się z najprymitywniejszych stołów i krzeseł. W naszej grupie była mamusia, matka Junifera, Julia i ja oraz Bronio nasz brat, ponadto Tadzio nasz stryjeczno-cioteczny brat, a do opieki była przy nas młde Ida, a Niemiec Meyer do chłopców. Mamusia postanowiła z nami dwiema i młde Idą „po drodze” odwiedzić krewnych rodziny naszego ojca. Więc wsiedliśmy z pociągu w Fastowie, potem jechaliśmy przez Koziatyń, Żmerynkę, do stacji Balta, już w Besarabii, by dotrzeć do cukrowni, nie pamiętam nazwy, której dyrektorem był pan Moszyński, żonaty z siostrzenicą naszego ojca, Morgulcówną. Wtedy byli oni młodym małżeństwem. Po dwóch dniach pobytu wyjechaliśmy znowu pociągiem w głąb prawdziwej Ukrainy do stacji Kamionka niedaleko Elizawetgradu, a stamtąd końmi do Kosary, majątku Franciszka Rościszewskiego, żonatego z cioteczną siostrą naszego ojca, cicią Walunią Zbyszewską, córką Walerego Zbyszewskiego, żonatego z p. Sarnecką. Miałam wówczas

5 i pół roku, a doskonale pamiętam uderzający widok prawdziwego stepu. Pamiętam i w Kosarze serdecznie, radosne witanie naszej mamusi, tak bardzo lubianej w rodzinie ojca. Znowu zabawiliśmy parę dni, z których spacerów koźmi zapamiętałam. (...)

W sąsiedztwie Kosary była wieś Tymoszkówka, do której pojechało się całym towarzystwem, tam mieszkali państwo Szymanowscy, ona Taube z domu, rodzice naszego sławnego kompozytora Karola Szymanowskiego (Katota). Mam jeszcze w oczach ten drewniany, obrośnięty winem dwór, pokoje pełne starych mebli, pamiętek i oczywiście dwa fortepiany. Całe wnętrze i atmosfera musiała być nasiąknięta jakimś urokiem tradycji i arcyzmu, kiedy na mnie, pięcioletnim dziecku pozostawiła wrażenie niezatarte. O wiele, wiele lat później, gdy czytałam książkę napisaną przez najmłodszą siostrę tegoż Karola, Zióke, (Zofię Grzybowską) pt. *Nasz dom*, widziałam oczami wspomnień ten dwór i sad. Druga część tego majątku należała do p. Rościszewskich, rodziców Karola, późniejszego bardzo miłego naszego dansera z balów polonii kijowskiej, który się ożenił ze Szczukówną,

umarłą przy dziecku. Gdy Karol Szymanowski ukończył konserwatorium w Warszawie i komponował, stając się znanym muzykiem, zjeżdżali do Tymoszkówki przyjaciele jego artyści i muzycy. Wybudował sobie w głębi sadu, z dala od odgłosów ludzkich, domek-pracownię i tam komponował albo z przyjaciółmi długie dyskusje o sztuce prowadził.

Zabawiwszy w Kosarze parę dni wyjechaliśmy do Odessy, gdzie czekał na nas Meier z Tadem i Broniem, i mateczka. Razem już dojechaliśmy do owego hotelu nad Kujalnikami. Cóż to było za bezroślinne pustkowienie jako krajobraz: piasek i trochę wyższy brzeg na podłożu, które widocznie było ongiś dnem morskim, bo to były jakby kamienie utworzone z jakiejś mieszaniny wapna z muszlami rozmaitej wielkości. To stanowiło materiał budowlany, toteż w ścianach gnieździły się rozmaite mniej lub więcej przyjemne owady jak pająki, tarantule i skolopendry, wstrętne duże czarne stonogi o czerwonych łapkach, jadowite. Raz pamiętam nadleciała chmura prawdziwej szarańczy. Siedzieliśmy przy obiedzie na werandzie jak te stworzenia opadły na nas, wpadając do talerzy z barszczem i rozpryskiwały ten czer-



Rodzina Kazimierza Floriana Fudakowskiego w Turbowie na Ukrainie ok. 1887 roku. Od lewej siedzą: nauczyciel Meyer, Kazimierz Bohdan, niewidomy dziadek Ignacy, stoi N.N., obok siedzi lektorka dziadka – pani Siemiątkowska z książką, Julia, Ludwina – żona Kazimierza z robótką, Leon, nauczycielka też z robótką, u jej stóp Teresa. Dwie siedzące razem dziewczynki to najmłodsze córki Kazimierza – Helena i Jadwiga

wony płyn, tak że trzeba było się schronić do pokoju.

Kąpiele były podobno bardzo skuteczne, był osobny budynek, gdzie więcej cierpiące osoby brały grzane kąpiele w wannach. Woda w limenie była tak gęsta, że osoby nie umiejące pływać utrzymywały się na powierzchni, zaś kropla prysnięta na suknię wygryzała dziurkę. Właściwością wody tego jeziora było, że w pewnym okresie lata robiła się czerwona, kolor ten trwał kilka godzin i znikał. Wywołane to było wylęganiem się mikroskopijnych czerwonych raczków, które po kilku godzinach zdychały i spadały na dno. To zjawisko, powtarzające się co roku, tworzyło czarne błoto o odrażającym zapachu, ale o właściwościach leczniczych. Z niego robiono kąpiele w wannach lub okłady. Ponieważ cały brzeg wody był dostępny dla wszystkich bez opłaty, ta plaża przedstawiała przedziwny widok. Pamiętam jak pewnego dnia mamusia, matka Junifera i my dwie jechałyśmy powozem na spacer wzdłuż brzegu, który był usiany pstrokatymi ludzkimi postaciami, oczywiście nagimi, które sobie oblepiały bolące miejsca ciała i suszyły się na słońcu. Mamusia czym prędzej otworzyła parasolkę, by zasłonić ten widok przed naszymi oczami. (...)

Bawiły wtedy w Odessie dla kąpeli morskich, a czasem dojeżdżały do nas kuzynki nasze, panny Rakowskie, które były o wiele od nas starsze, bo zupełnie dorosłe panny i przyjaźniły się z naszą mamą. Stoi mi w oczach widok tych dorodnych pań, kąpiących się w czerwonych koszulach, z czerwonymi parasolkami rozpiętymi nad głową, bo słońce paliło.

Matka tych panien była cioteczną siostrą naszego ojca, bo córką Hieronima Zbyszewskiego, brata mojej babki, miała siostrę Zofię za Dachowskim, Teresę za Czarnowskim z Kroczewa w Łomżyńskim, ta ostatnie miała córki: Marię (Manetę) za Skarżyńskim, Zofię za I v. Szymanowskim, II v. za Rzewuskim, Wandę za Skarżyńskim, bratem tamtego, synów: Józefa żonatego z Drojewską i Stefana, oryginała i ateusza. Najstarsza Maneta miała syna Kazia i córkę za Cieleckim, sama była śliczna. Już jako męzatka

wslawiła się w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia jako bardzo lekkiego prowadzenia w stylu swej epoki. Mój ojciec i jego rodzeństwo zupełnie ją ignorowali. Specjalnością jej było inicjowanie młodych ludzi, arystokratów w arkana miłości. Między innymi młody Maurycy Zamoy-ski, późniejszy ordynat, przeszedł staż u niej, co później wywołało pewne komplikacje, mianowicie: Kazio Skarżyński, jej syn, tres bel homme, bardzo sympatyczny i inteligentny, ożenił się ze swoją kuzynką Bohomolcówną, rozeszli się, dostali kościelną anulację, bo ona nie chciała mieć dzieci. Tymczasem ordynat Maurycy, ożeniwszy się z Sapieżanką, miał z nią dużo dzieci. Druga z rzędu, Zosia, zakochała się na zabój w Kaziu Skarżyńskim. Ojciec ordynat dłuższy czas był przeciwny temu małżeństwu. Ludzkie języki oczywiście zajęły się sprawą i twierdziły, że przecież taki arystokrata nie może wydać córki za zwykłego szlachcica, a tymczasem powód był inny. Ordynat stał przed zagadką, czy Kazio nie jest jego synem. Dopiero jak skonfrontował daty i lata Kazia, dał córce pozwolenie. Odbył się ślub w kościele Wizytek w Warszawie. U osób, które w kościele były widzami tego obrzędu, a znały przeszłość Manety, widok ordynata podającego ramię matce pana młodego, już dobrze starszej damie i ciągnącego ją na czele orszaku, wywoływał ukrywany uśmiech (...).

Po kilku tygodniach pobytu w Kujalniku wyjechaliśmy do Odessy. Odessa to miasto, które powstało z małej osady po wojnie krymskiej, tj. po zdobyciu przez Francuzów Sewastopola. Wtedy pozostał w Odessie inżynier wojskowy, Francuz Richelieu, który przy poparciu rządu carskiego rozbudował port, wybudował bulwar nad morzem (Boulevard Richelieu), na którym stał pomnik z brązu tegoż inżyniera Richelieu. Z tego bulwaru schodziły szerokie schody do portu, który wtedy nabrał znaczenia i roiło się nawet w mieście od kolorowych ludzi, barwnie ubranych Chińczyków czy Hindusów. Pamiętam, że zwiedzaliśmy okręt, który między innymi przywiózł małpy i papugi, może do ogrodu zoologicznego w Petersburgu.